

Prolog

Gdy w 2020 roku wybuchła pandemia koronawirusa, Stany Zjednoczone nie były na nią przygotowane (podobnie zresztą jak wiele innych krajów). Choć eksperci w dziedzinie zdrowia publicznego już rok wcześniej ostrzegali o ryzyku globalnej epidemii choroby wirusowej i choć Chiny zmagaly się z tym problemem już w styczniu, Stany Zjednoczone nie zapewniły sobie możliwości prowadzenia testów na masową skalę, co mogłoby powstrzymać rozprzestrzenianie się choroby. Liczba zakażonych rosła, a najzamożniejszy kraj na świecie nie był w stanie zapewnić nawet maseczek i innego sprzętu ochronnego niezbędnego pracownikom służby zdrowia, którzy walczyli z nagłym zalewem zakażonych pacjentów. Szpitale i agencje rządowe na próżno starały się zorganizować odpowiednią liczbę respiratorów, niezbędnych do ratowania życia pacjentów.

Ten brak przygotowania wynikał z wielu czynników. Prezydent Donald Trump, ignorując ostrzeżenia swoich doradców ds. zdrowia publicznego, przez kilka jakże ważnych tygodni bagatelizował sytuację kryzysową. Pod koniec lutego podkreślał: „Mamy to w pełni pod kontrolą. [...] Wykonaliśmy kawał znakomitej roboty. [...] To zniknie”. Centers for Disease Control and Prevention (CDC) początkowo rozprowadzała wadliwe zestawy do wykonywania testów, a później z mozołem szukała rozwiązania tego problemu. Po dziesięcioleciach budowania gospodarki opartej na outsourcingu okazało się, że nasze firmy są niemal całkowicie zależne od Chin i innych zagranicznych producentów masek chirurgicznych oraz sprzętu medycznego¹.

¹ F. Manjoo, *How the World's Richest Country Ran Out of a 75-Cent Face Mask*, „The New York Times”, 25 marca 2020, [nytimes.com/2020/03/25/opinion/coronavirus-face-mask.html](https://www.nytimes.com/2020/03/25/opinion/coronavirus-face-mask.html).

Pomijając jednak nawet brak przygotowania logistycznego, Stany Zjednoczone nie były gotowe na pandemię również w sensie moralnym. Lata poprzedzające ten kryzys epidemiczny upłynęły pod znakiem głębokich podziałów: gospodarczych, kulturowych i politycznych. Kolejne dziesięciolecia rosnących nierówności oraz kulturowego rozgoryczenia spowodowały, że w 2016 roku wściekli populiści w końcu postawili na swoim i wybrali Trumpa na prezydenta. Ten – krótko po przeprowadzeniu procedury impeachmentu, która jednak nie doprowadziła do usunięcia go ze stanowiska – stanął twarzą w twarz z największym kryzysem od czasu ataków terrorystycznych z 11 września 2001 roku. Kryzys się nasilał, a podziały partyjne trwały w najlepsze. Niewielu republikanów (zaledwie 29 procent) ufało, że media informacyjne przekazują rzetelne dane na temat koronawirusa, podobnie jak niewielu demokratów (19 procent) ufało informacjom podawanym przez Trumpa².

Pośród tych partyjnych oskarżeń i powszechnego braku zaufania nadeszła plaga wzywająca nas do okazania solidarności w stopniu, na jaki w czasie pokoju potrafi zdobyć się bardzo niewiele narodów. Ludzi na całym świecie zachęcano, a często również zmuszano, do utrzymywania dystansu społecznego, do zaprzestania pracy i pozostania w domach. Ci, którzy nie mogli pracować zdalnie, tracili dochody, a czasem również ich źródło. Wirus stanowił największe zagrożenie dla osób najstarszych, ale potrafił zagrozić również młodym, a ci, którzy sobie z nim radzili, musieli mimo wszystko pamiętać o swoich rodzicach i dziadkach.

W sensie moralnym pandemia dobitnie uświadomiła nam, że nie jesteśmy na wszystko odporni i że zależymy od siebie nawzajem: „Wszyscy jedziemy na jednym wóz-

² Kaiser Family Foundation (KFF) Coronavirus Poll, tabela 6, marzec 2020, [kff.org/global-health-policy/poll-finding/kff-coronavirus-poll-march-2020](https://www.kff.org/global-health-policy/poll-finding/kff-coronavirus-poll-march-2020).

ku”. Urzędnicy i reklamodawcy instynktownie sięgnęli po ten właśnie slogan. Problem polegał na tym, że solidarność rozpalana tym sloganem była solidarnością opartą na strachu – strachu przed zakażeniem, który wymuszał na nas „utrzymywanie dystansu społecznego”. W imię zdrowia publicznego mieliśmy wykazywać się solidarnością i uznać naszą zbiorową wrażliwość przez zachowywanie dystansu oraz stosowanie się do obostrzeń w postaci samoizolacji.

Zbieżność solidarności i separacji w przypadku pandemii ma sens. Nie dotyczyło to oczywiście heroicznych pracowników służby zdrowia i służb ratunkowych, którzy w celu niesienia pomocy zakażonym musieli być przy nich fizycznie obecni, nie dotyczyło to także pracowników sklepów spożywczych i ludzi obsługujących łańcuchy dostaw, którzy zapewniali ciągłą dostępność żywności i innych podstawowych produktów ludziom chroniącym się w domach. Większości z nas jednak powiedziano, że najlepszym sposobem ochrony innych osób jest trzymanie się od nich na dystans.

Moralny paradoks solidarności realizowanej przez dystans podkreślał swego rodzaju pustość sloganu: „Wszyscy jedziemy na jednym wózku”. Nie opisywał poczucia wspólnoty nieodłącznie związanego z ciągłym okazywaniem sobie wzajemnej odpowiedzialności i poświęcania dla innych. Było wręcz przeciwnie, ponieważ solidarność ta musiała wystąpić w warunkach niemal niespotykanych wcześniej nierówności oraz partyjnych ataków politycznych. Ta sama globalizacja o zabarwieniu rynkowym, która sprawiła, że Stany Zjednoczone straciły zdolność krajowej produkcji masek chirurgicznych i leków, bardzo wielu ludzi pozbawiła dobrze płatnej pracy i pozycji społecznej.

Jednocześnie ci, którzy czerpali ekonomiczne zyski z globalizacji rynków, łańcuchów dostaw i przepływu

kapitału, w coraz mniejszym stopniu polegali na swoich rodakach i to w roli zarówno producentów, jak i konsumentów. Ich dobrobyt finansowy oraz ich tożsamość przestały być uzależnione od społeczności lokalnych czy nawet narodowych. Globalizacyjni zwycięzcy coraz bardziej zostawiali w tyle przegranych, realizując tym samym własny model społecznego dystansowania się.

Rzeczni zwycięzcy utrzymywali, że spór polityczny nie przebiega już na linii prawica–lewica, lecz na linii otwarci–zamknięci. W otwartym świecie sukces zależy od wykształcenia, od tego, aby się jak najlepiej przygotować do walki o sukcesy w warunkach konkurencyjnej gospodarki globalnej. Państwa narodowe powinny zatem zadbać, aby wszyscy mieli równy dostęp do edukacji, od której zależy przecież poziom osiągnięć w późniejszym życiu. Przynosi to jednak ten skutek, że ludzie odnoszący sukcesy trwają potem w przekonaniu, że sobie na swoje dokonania zasłużyli. A skoro naprawdę wszyscy mają równe szanse, to w takim razie ci pozostający w tyle sami są sobie winni.

Jeśli się przyjmuje takie podejście do sukcesu, trudno jest uwierzyć w zapewnienia, że „wszyscy jedziemy na tym samym wózku”. Takie myślenie powoduje, że ludzie sukcesu uznają swój triumf za własną zasługę, a przegrani mają poczucie, że ci na szczycie spoglądają na nich z pogardą. Pozwala to zrozumieć, dlaczego ludzie skrzywdzeni przez globalizację są wściekli i rozgoryczeni, a także dlaczego kuszą ich poglądy autorytarnych populistów atakujących społeczne elity i obiecujących zdecydowane działania na rzecz uszczelniania granic narodowych.

Teraz to właśnie te siły i postaci polityczne, pozbawione przygotowania naukowego czy możliwości współpracy międzynarodowej, muszą radzić sobie z pandemią. Nie będzie im łatwo. Mobilizacja na rzecz walki z globalnym kryzysem zdrowotnym wymaga nie tylko eksperckiej

wiedzy medycznej i naukowej, ale też odnowy moralnej i politycznej.

Toksyczne połączenie pychy i niechęci, które dało Trumpowi władzę, raczej nie stanie się źródłem niezbędnej nam dzisiaj solidarności. Nadzieje na odnowę naszego życia moralnego i obywatelskiego muszą opierać się na zrozumieniu, jak to się stało, że w ciągu ostatnich 40 lat doszło do zaniku więzi społecznych i społecznego szacunku. Ta książka stanowi próbę wyjaśnienia, jak to się stało oraz którądy biegnie droga prowadząca do wspólnego dobra politycznego.

31 marca 2020

Brookline, Massachusetts

Wprowadzenie

Dostać się

W marcu 2019 roku, gdy uczniowie szkół średnich oczekiwali na wyniki rekrutacji na studia, prokuratura federalna wydała zadziwiające oświadczenie. Trzydzieścioro trojgu majątnym rodzicom postawiła zarzuty organizacji złożonego spisku mającego na celu przyjęcie ich dzieci na elitarne uniwersytety, między innymi Yale, Stanforda, Georgetown oraz University of Southern California¹.

W roli głównego szwarccharakteru wystąpił w tej historii pozbawiony skrupułów szkolny doradca zawodowy, niejaki William Singer, prowadzący firmę odpowiadającą na potrzeby złąknionych, ale zamożnych rodziców. Firma Singera specjalizowała się w obchodzeniu niezwykle obleganego systemu rekrutacji na studia, które od kilkudziesięciu lat uważa się za podstawową odskocznię do prestiżu i życia na poziomie. Na potrzeby uczniów, którzy nie mieli znakomitych średnich ocen wymaganych przez najlepsze uczelnie, Singer opracował alternatywne sposoby rekrutacji oparte na korupcji. Wręczał łapówki egzaminatorom sprawdzającym ustandaryzowane testy wiedzy szkolnej, takie jak SAT i ACT, aby poprawiali odpowiedzi i tym samym zawyżali wyniki konkretnych uczniów. Łapówki wręczał również trenerom, aby wystawiali dokumenty na stypendia sportowe uczniom, nawet jeśli ci nie uprawiali żadnej dyscypliny sportu. Preparował nawet fałszywe dokumenty sportowe, za pomocą Photoshopa, wklejając

¹ J. Medina, K. Benner, K. Taylor, *Actresses, Business Leaders and Other Wealthy Parents Charged in U.S. College Entry Fraud*, „The New York Times”, 12 marca 2019, [nytimes.com/2019/03/12/us/college-admissions-cheating-scandal.html](https://www.nytimes.com/2019/03/12/us/college-admissions-cheating-scandal.html).

twarze uczniów na zdjęcia z dynamicznymi ujęciami innych sportowców.

Za nielegalne pośrednictwo Singera w procesie rekrutacji trzeba było słono zapłacić. Prezes prestiżowej kancelarii prawnej wydał 75 tysięcy dolarów, aby jego córka mogła zdawać egzamin wstępny na studia w ośrodku egzaminacyjnym nadzorowanym przez człowieka opłacanego przez Singera. Dawało to gwarancję, że dziewczyna uzyska niezbędne minimum punktów. Inna rodzina zapłaciła Singerowi 1,2 miliona dolarów, aby ten załatwił przyjęcie ich córki na Yale na stypendium w dziedzinie piłki nożnej, mimo że dziewczyna nigdy nawet nie wyszła na boisko. Singer wykorzystał 400 tysięcy dolarów z tej kwoty do opłacenia trenera drużyny piłki nożnej z Yale, który później również usłyszał zarzuty. Aktorka telewizyjna i jej mąż, projektant mody, zapłacili Singerowi 500 tysięcy dolarów, aby załatwił przyjęcie ich dwóch córek na University of Southern California również jako nowy nabytek sportowy, tym razem do uniwersyteckiej drużyny wioślarskiej. W sprawę zamieszana była również inna gwiazda, Felicity Huffman, choć dla niej Singer przewidział najwyraźniej jakąś promocję, bo za jedyne 15 tysięcy dolarów załatwił zawyżenie wyników uzyskanych przez jej córkę na egzaminie SAT².

Łącznie przez osiem lat prowadzenia tej działalności Singer zainkasował ponad 25 milionów dolarów.

Skandal rekrutacyjny wzbudził powszechne oburzenie. W czasach wielkiej polaryzacji, w których Amerykanie nie umieli porozumieć się niemal w żadnej sprawie, ta konkretna historia wywołała ogromne wzburzenie i spotkała się z jednoznacznym potępieniem ze strony

² *Ibid.* Patrz także: *Here's How the F.B.I. Says Parents Cheated to Get Their Kids into Elite Colleges*, „The New York Times”, 12 marca 2019, [nytimes.com/2019/03/12/us/admissions-scandal.html](https://www.nytimes.com/2019/03/12/us/admissions-scandal.html); *Affidavit in Support of Criminal Complaint*, 11 marca 2019, U.S. Department of Justice: [justice.gov/file/1142876/download](https://www.justice.gov/file/1142876/download).

polityków wszystkich opcji. Krytyczne komentarze pojawiły się w Fox News oraz w MSNBC, a także w „The Wall Street Journal” i w „The New York Times”. Wszyscy zgodnie twierdzili, że oszukiwanie i korumpowanie innych w celu uzyskania miejsca na elitarniej uczelni to akt godny potępienia. Tamta wściekłość nie sprowadzała się jednak wyłącznie do tego, że uprzywilejowani rodzice wykorzystują nielegalne środki, aby pomóc swoim dzieciom dostać się na prestiżowe studia. Choć społeczeństwo nie umiało tego jednoznacznie wyartykułować, był to skandal znamieny, ponieważ rodził szersze pytania o to, kto ma w życiu lepiej i dlaczego.

Co nieuniknione, wszystkie wyrazy oburzenia tym faktem miały jednocześnie zabarwienie polityczne. Reprezentanci prezydenta Trumpa bezzwłocznie zaatakowali na Twitterze oraz na antenie Fox News zamieszanych w ten skandal liberałów z Hollywood. „Popatrzcie, kim są ci ludzie – powiedziała na antenie tej stacji Lara Trump, pasierbica prezydenta. – To elity z Hollywood, liberalne elity, które wiecznie mówią o równości szans dla wszystkich, o tym, że każdy powinien mieć takie same szanse, a tu proszę, gigantyczna hipokryzja: sami wypisują czeki, aby ich dzieci mogły na lewo dostać się na najlepsze studia. Tymczasem te miejsca powinny przypaść w udziale dzieciakom, które naprawdę na to zasłużyły”³.

Liberałowie zwracali uwagę na to samo: że na skutek tego skandalu na studia nie dostali się młodzi, którzy na to zasługiwali. W ich oczach jednak oszustwo to stanowiło przejaw jeszcze bardziej rażącej niesprawiedliwości, a mianowicie wpływu ludzi zamożnych i uprzywilejowanych na proces rekrutacji także w tych przypadkach, w których nie dochodziło do złamania prawa. Informując o akcie oskarżenia, prokurator krajowy podkreślił, że

³ L. Trump w Fox News at Night, 12 marca 2019: [facebook.com/FoxNews/videos/lara-trump-weighs-in-on-college-admissions-scandal/2334404040124820](https://www.facebook.com/FoxNews/videos/lara-trump-weighs-in-on-college-admissions-scandal/2334404040124820).

jego zdaniem w tej sprawie chodzi o zasadę: „Nie może być mowy o odrębnym systemie rekrutacji dla zamożnych”⁴. W prasie opiniotwórczej od razu podniosły się głosy, że rola pieniędzy w procesie rekrutacji jest sprawą powszechną, co najlepiej widać po tym, że na elitarnych uczelniach dzieci absolwentów oraz hojnych darczyńców mogą liczyć na specjalne traktowanie.

W reakcji na podejmowane przez zwolenników Trumpa próby obarczenia liberałów odpowiedzialnością za skandal demokracji przypominali o doniesieniach, z których wynikało, że Jared Kushner – zięć prezydenta – został przyjęty na Harvard pomimo słabych wyników w nauce, gdy jego ojciec, bogaty deweloper, dofinansował tę uczelnię kwotą 2,5 miliona dolarów. Sam Trump miał przekazać 1,5 miliona dolarów na rzecz Wharton School przy University of Pennsylvania, gdy kształciły się tam jego dzieci, Donald Jr. i Ivanka⁵.

ETYKA POSTĘPOWANIA REKRUTACYJNEGO

Singer, geniusz obchodzenia systemu rekrutacji, rozumiał, że dzięki dużej darowiźnie można wepchnąć „tylnymi drzwiami” tych kandydatów, którym w normalnym toku rekrutacji zabrakłoby trochę punktów. Wołał jednak opracować własną technikę, którą określał mianem wprowadzania „bocznymi drzwiami”. W jego ocenie było to rozwiązanie tańsze i skuteczniejsze. Swoich klientów zapewniał, że standardowa droga prowadząca „tylny-

⁴ A. Lelling, U.S. Attorney, District of Massachusetts, 12 marca 2019, CNN, tekst oświadczenia: edition.cnn.com/TRANSCRIPTS/1903/12/ath.02.html.

⁵ F. Bruni, *Bribes to Get into Yale and Stanford? What Else Is New?*, „The New York Times”, 12 marca 2019, nytimes.com/2019/03/12/opinion/college-bribery-admissions.html; E. Scott, *Why Trump Jr. Mocked the Parents Caught Up in the College Admissions Scandal*, „The Washington Post”, 13 marca 2019, washingtonpost.com/politics/2019/03/13/why-trump-jr-mocked-parents-caught-up-college-admissions-scandal. Oryginalny tekst poświęcony przypadkowi Jareda Kushnera i wpływowi pieniędzy na jego przyjęcie na studia: D. Golden, *The Price of Admission*, Broadway Books, New York 2006, s. 44–46. Rzekome darowizny Trumpa dla Wharton School: L. Ferre Sadurni, *Donald Trump May Have Donated over \$1.4 Million to Penn*, „Daily Pennsylvanian”, 3 listopada 2016, thedp.com/article/2016/11/trumps-history-of-donating-to-penn.

mi drzwiami” była „dziesięciokrotnie bardziej kosztowna” niż jego korupcyjne rozwiązanie, a przy tym dawała mniejszą pewność. Duża darowizna na rzecz uczelni nie gwarantowała przyjęcia kandydata, jego metoda oparta na lewych wynikach testów i łapówkach taką gwarancję zapewniała. „Moje rodziny oczekują pewności”, mówił⁶.

Choć w obu tych „modelach” rekrutacji wstęp na studia kupuje się za pieniądze, to jednak z moralnego punktu widzenia wiele je różni. Na początek warto podkreślić, że wstęp „tylnymi drzwiami” jest zgodny z prawem, a wstęp „bocznymi drzwiami” już nie. Prokurator krajowy stwierdził: „Nie mówimy tutaj o sfinansowaniu nowego budynku, żeby uczelnia była bardziej skłonna przyjąć czyjegoś syna lub córkę. Mówimy o oszustwie, o fałszowaniu egzaminów, o fałszowaniu dokumentacji sportowej, przygotowaniu zdjęć i korumpowaniu pracowników uczelni”⁷.

Stawiając zarzuty Singerowi, jego klientom oraz skorumpowanym trenerom uniwersyteckim, prokuratura nie wysyłała uczelniom sygnału, że nie mogą sprzedawać miejsce na pierwszym roku. Był to jedynie akt ukrócenia działań noszących znamiona jawnego oszustwa. Abstrahując jednak od kwestii legalności, modele tylnych i bocznych drzwi różnią się także pod następującym względem: gdy rodzice kupują swojemu dziecku wstęp na studia za pomocą dużej darowizny, te pieniądze trafiają na konto uczelni, więc teoretycznie mogą posłużyć do zapewnienia lepszej edukacji wszystkim studentom. Pieniądze przekazywane przez Singera trafiały do osób prywatnych, więc uczelnia w żaden albo w prawie żaden sposób na tym nie korzystała (choć jeden trener, konkretnie trener żeglarstwa ze Stanfordu, miał rzekomo wykorzystać łapówkę

⁶ Singer cytowany: Affidavit in Support of Criminal Complaint, 11 marca 2019, U.S. Department of Justice: [justice.gov/file/1142876/download](https://www.justice.gov/file/1142876/download), s. 13.

⁷ A. Lelling, U.S. Attorney, District of Massachusetts, 12 marca 2019, CNN, tekst oświadczenia: [edition.cnn.com/TRANSCRIPTS/1903/12/ath.02.html](https://www.cnn.com/TRANSCRIPTS/1903/12/ath.02.html).

do dofinansowania uczelnianego programu żeglarskiego; inni schowali pieniądze do kieszeni).

Jeśli chodzi o słuszność i sprawiedliwość, trudno jest wartościować obie te metody. Obie dają przewagę dzieciom z zamożnych rodzin, które zostają przyjęte i zajmują miejsca bardziej kompetentnym kandydatom. Obie metody skutkują w praktyce tym, że pieniądze stają się ważniejsze od wiedzy.

Rekrutacja na podstawie kryteriów merytorycznych to zgodnie z przyjętym tu nazewnictwem wstęp „frontowymi drzwiami”. Jak ujął to Singer, „frontowymi drzwiami wchodzi się samemu”. Dla większości osób tylko ten model rekrutacji jest modelem sprawiedliwym – kandydatów należy przyjmować na podstawie ich indywidualnych osiągnięć, a nie zasobności portfela rodziców.

W praktyce nie jest to oczywiście takie proste. Pieniądze mimo wszystko odgrywają pewną rolę także w procesie rekrutacji „frontowymi drzwiami”, ponieważ trudno jest oddzielić kryteria merytoryczne od uprzywilejowania kandydata wynikającego z sytuacji ekonomicznej jego rodziny. Ustandaryzowane testy, takie jak SAT, mają służyć dokonywaniu obiektywnych pomiarów wiedzy uczniów i umożliwiać dzieciakom z rodzin żyjących skromnie wykazanie się potencjałem intelektualnym. W rzeczywistości okazuje się, że wyniki egzaminów SAT w dużej mierze pokrywają się z dochodami gospodarstw domowych. Z im zamożniejszej rodziny wywodzi się student, tym więcej punktów uzyska prawdopodobnie na tym teście⁸.

Zamożni rodzice zapisują swoje dzieci na kursy przygotowujące do egzaminów SAT, zatrudniają prywatnych doradców ds. rekrutacji, którzy pomagają odpowiednio wypełnić CV kandydata, zapisują ich na lekcje tańca i mu-

⁸ A. Perry, *Students Need a Boost in Wealth More Than a Boost in SAT Scores*, The Hechinger Report, 17 maja 2019, hechingerreport.org/students-need-a-boost-in-wealth-more-than-a-boost-in-sat-scores.

zyki, posyłają na treningi dyscyplin uznawanych za elitarne, takich jak szermierka, squash, golf, tenis, wioślarstwo, lacrosse czy żeglarstwo. Co lepsi kwalifikują się potem do rekrutacji do drużyn uniwersyteckich. Jeszcze inne dzieciaki są wysyłane w odległe rejony do wykonywania jakiejś pracy w szczytnym celu, żeby pokazać, że przejmują się losem tych, którym w życiu się nie powiodło. To wszystko stosunkowo kosztowne sposoby na zapewnienie dzieciom większych szans w rekrutacji na najlepsze uczelnie – sposoby dostępne wyłącznie dla rodzin zamożnych.

Potem pojawia się temat chesnego. Tylko garstka uczelni może pozwolić sobie na przyjmowanie kandydatów bez względu na to, czy stać ich na opłacanie studiów. Na wszystkich pozostałych uniwersytetach większe szanse na indeks mają kandydaci, którzy nie potrzebują pomocy finansowej⁹.

W świetle powyższych informacji dla nikogo nie powinno być zaskoczeniem, że ponad dwie trzecie studentów uczelni należących do Ivy League wywodzi się z gospodarstw domowych z górnych 20 procent rozkładu dochodów. Jeśli weźmiemy pod uwagę tylko Princeton i Yale, więcej studentów wywodzi się tam z górnego 1 procenta niż z dolnych 60 procent rozkładu dochodów w skali kraju¹⁰. Ta zatrwajająca nierówność w dostępie do elitarnych uczelni wynika po części z preferencji dla dzieci absolwentów oraz głównych darczyńców (rekrutacja „tylnymi drzwiami”), ale stanowi również efekt realiów,

⁹ R. Lieber, *One More College Edge*, „The New York Times”, 16 marca 2019; P. Tough, *The Years That Matter Most: How College Makes or Breaks Us*, Houghton Mifflin Harcourt, Boston 2019, s. 153–167.

¹⁰ *Some Colleges Have More Students from the Top 1 Percent Than the Bottom 60*, „The New York Times”, 18 stycznia 2017: nytimes.com/interactive/2017/01/18/upshot/some-colleges-have-more-students-from-the-top-1-percent-than-the-bottom-60.html. Dane pochodzą z: R. Chetty, J. Friedman, E. Saez i in., *Mobility Report Cards: The Role of Colleges in Intergenerational Mobility*, NBER Working Paper No. 23618, wersja zmieniona, grudzień 2017: opportunityinsights.org/paper/mobilityreportcards.

w których dzieci z zamożnych domów łatwiej dostają się frontowymi drzwiami.

Zdaniem krytyków tego typu nierówności dobitnie świadczą o tym, że szkolnictwo wyższe nie jest merytokracją, za którą się podaje. Z tego punktu widzenia opisany przeze mnie skandal rekrutacyjny stanowi haniebny przykład szerszych i trwalszych nierówności, na skutek których szkolnictwo wyższe nie dorasta do standardów merytokracji, którymi się tak szczyci.

Pomimo pozornej różnicy zdań ci, którzy uważają ten skandal za szokujące odstępstwo od reguł prowadzenia rekrutacji, oraz ci, którzy mają go za skrajny przejaw ogólnych tendencji od dawna obecnych w sferze rekrutacji na studia, tak naprawdę mają ze sobą sporo wspólnego: uważają, że młodych ludzi należy przyjmować na studia na podstawie ich kompetencji i uzdolnień, a nie na podstawie czynników pozostających poza ich kontrolą. Innymi słowy, zgadzają się co do tego, że o przyjęciu powinny decydować kryteria merytoryczne. Przynajmniej domyślnie zgadzają się zatem również ze stwierdzeniem, że osoby przyjęte na podstawie kryteriów merytorycznych zasłużyły na swój indeks i w związku z tym zasługują także na związane z nim korzyści.

Jeżeli uznać ten pogląd za słuszny, to problem z merytokracją nie sprowadza się do samej zasady, lecz do tego, że nie udaje nam się utrzymać odpowiednich standardów. Świetnie widać to w sporach politycznych konserwatystów z liberałami. Tocząca się u nas debata publiczna nie dotyczy samej merytokracji, lecz sposobów dochodzenia do niej. Konserwatyści stoją na stanowisku, że działania społeczne określane mianem akcji afirmatywnej, czyli uwzględniające między innymi rasę czy pochodzenie etniczne kandydatów, stanowią przejaw sprzeniewierzenia się zasadzie oparcia rekrutacji na kryteriach merytorycznych. Liberałowie bronią natomiast akcji afirmatywnej

jako narzędzia walki z trwałą nierównością i twierdzą, że merytokrację można osiągnąć jedynie przez sztuczne wyrównywanie szans między uprzywilejowanymi i tymi w gorszej sytuacji społeczno-ekonomicznej.

Debata ta nie uwzględnia jednak możliwości, że problem z merytokracją może być znacznie głębszy.

Wróćmy raz jeszcze do skandalu rekrutacyjnego. Gniew i oburzenie dotyczyły w dużej mierze oszustwa i wynikłej z niego niesprawiedliwości. Równie niepokojące są jednak postawy ludzkie, które spowodowały, że do tych oszustw w ogóle doszło. Punktem wyjścia do całego tego skandalu było przekonanie – dzisiaj tak powszechne, że mało kto zwraca już na nie uwagę – że studia na elitarnej uczelni to bardzo pożądana nagroda. Skandal przykuł uwagę opinii publicznej nie tylko z uwagi na to, że uwikłani w niego byli celebryci i potentaci branży *private equity*, ale także dlatego, że dostęp, który usiłowali sobie kupić, jest dobrem powszechnie pożądanym, przedmiotem wielkiego pragnienia.

Skąd się to bierze? Dlaczego przyjęcie na prestiżowy uniwersytet stało się czymś tak ważnym, że uprzywilejowani rodzice posuwają się do oszustwa, byle tylko wprowadzić tam swoje dzieci? Dlaczego ci, którzy nie oszukują, wydają po kilkadziesiąt tysięcy dolarów na prywatnych konsultantów rekrutacyjnych i kursy przygotowawcze, aby zwiększyć szanse swoich dzieci? Dlaczego zamieniają swoim dzieciom okres nauki w szkole średniej w stresujący maraton kursów przygotowawczych, wypełniania CV i innych działań podejmowanych z myślą o rekrutacji na studia? Dlaczego przyjęcie na elitarną uczelnię stało się w naszym społeczeństwie tak ważne, że FBI kieruje olbrzymie zasoby na dochodzenie w sprawie oszustw na tym polu? Dlaczego doniesienia na temat tego skandalu miesiącami gościły w nagłówkach informacyjnych i przykuwały uwagę opinii publicznej – od momentu postawienia zarzutów aż po skazanie sprawców?

Obsesja na punkcie przyjęć na studia sięga korzeniami nierówności narastających przez ostatnie kilkadziesiąt lat. Stanowi odzwierciedlenie faktu, że coraz więcej zależy od tego, kto się gdzie dostanie. Gdy 10 procent najzamożniejszych Amerykanów wyraźnie odskoczyło całej reszcie, stawka walki o prestiżowy uniwersytet wzrosła. Jeszcze 50 lat temu rekrutacja na studia nie była aż tak ważna. Wtedy niecałe 20 procent Amerykanów decydowało się na czteroletnie studia, a ci, którzy postanawiali studiować, wybierali uczelnie w pobliżu domu. Rankingi szkół wyższych nie były wówczas tak istotne jak dzisiaj¹¹.

Im bardziej narastały jednak nierówności i im bardziej rosła luka dochodowa między osobami z wyższym wykształceniem a ludźmi bez niego, tym istotniejsze stawały się zarówno studia, jak i wybór uczelni¹². Zmienił się również styl sprawowania rodzicielstwa, zwłaszcza w środowisku profesjonalistów. Wraz z powiększaniem się luki dochodowej rośnie strach przed upadkiem. Chcąc uniknąć tego ryzyka, rodzice coraz mocniej angażują się w życie swoich dzieci – kontrolują ich czas, pilnują ocen, kierują ich aktywnościami, dbają o gromadzenie przez nie właściwych kwalifikacji z myślą o studiach¹³.

Ten wysyp nadopiekuńczych, nadaktywnych rodziców nie wziął się znikąd. To wynikająca z lęku, ale zupełnie zrozumiała reakcja na narastanie nierówności. Zamożni rodzice chcą oszczędzić swoim dzieciom braku ekonomicznej stabilności, z którym zмага się dziś klasa średnia. Dyplom z prestiżowej uczelni zaczął być postrzegany jako podstawowe narzędzie ułatwiające wspinaczkę po drabinie hierarchii społecznej, a jednocześnie najlepsze zabezpieczenie przed osuwaniem się w tej hierarchii. Taki

¹¹ C.M. Hoxby, *The Changing Selectivity of American Colleges*, „Journal of Economic Perspectives” 23, no. 4 (jesień 2009), s. 95–118.

¹² *Ibid.*, s. 95–100; P. Tough, *The Years That Matter Most: How College Makes Or Breaks Us*, s. 39.

¹³ M. Doepke, F. Zilibotti, *Love, Money & Parenting: How Economics Explains the Way We Raise Our Kids*, Princeton University Press, Princeton 2019, s. 8–11, 51–84.

dypłom daje nadzieję na utrzymanie komfortowego życia. Właśnie tego typu myślenie skłania panikujących, uprzywilejowanych rodziców do korzystania z usług oszustów załatwiających wstęp na prestiżowe uniwersytety.

CO Z TYMI ZASŁUGAMI?

W nierównym społeczeństwie ci, którzy znajdują się na szczycie, chcą wierzyć, że ich sukces jest moralnie uzasadniony. W społeczeństwie merytokratycznym oznacza to, że na sukces zasłużyli sobie własnymi talentami i ciężką pracą.

Paradoksalnie to właśnie ten dar oszukujący rodzice chcieli przekazać swoim dzieciom. Przecież gdyby zależało im wyłącznie na tym, aby ich potomstwo wiodło dostatnie życie, wystarczyło pozakładać im fundusze powiernicze. Im zależało jednak na czymś innym, na merytokratycznej pieczęci, przystawianej wraz z przyjęciem kogoś na elitarną uczelnię.

Singer doskonale to rozumiał i dlatego tłumaczył, że frontowymi drzwiami trzeba się „dostać o własnych siłach”. Oferowane przez niego oszustwo stanowiło najlepszą alternatywę dla normalnej ścieżki rekrutacyjnej. Tak, oczywiście, że przyjęcie na studia na podstawie sfałszowanych wyników egzaminu SAT albo sfałszowanych dokumentów sportowych nie ma nic wspólnego z „dostawaniem się o własnych siłach” i właśnie dlatego większość tych rodziców nie powiedziała dzieciom o tym, co zrobili. Przyjęcie bocznymi drzwiami daje ten sam merytokratyczny zaszczyt co przyjęcie frontowymi drzwiami, jedynie pod warunkiem że nieprawy aspekt całego procesu zostanie zachowany w tajemnicy. Nikt nigdy nie powie z dumą w głosie: „Dostałem się na Stanforda, bo moi rodzice przekupili trenera żeglarstwa”.

Kontrast z przyjęciem na podstawie kryteriów merytorycznych wydaje się oczywisty. Studenci przyjęci

na podstawie znakomitych osiągnięć i dokonań czerpią dumę ze swojego sukcesu, wychodzą z założenia, że zapracowali na swój sukces. Problem polega na tym, że to nie do końca tak jest. Owszem, fakt bycia przyjętym na studia stanowi odzwierciedlenie ich zaangażowania i ciężkiej pracy, ale tak naprawdę nie można powiedzieć, że jest to w całości ich zasługa. Co z rodzicami i nauczycielami, którzy im pomagali? A co z talentem, z którym przecież przynajmniej częściowo się rodzimy? Co ze szczęściem, że ktoś urodził się w społeczeństwie kultywującym i nagradzającym takie właśnie uzdolnienia?

Osoby, które dzięki wielkiemu wysiłkowi bądź talentowi przeważają nad rywalami w merytorycznej walce, zaciągają w dużej mierze niedostrzegalny dług wdzięczności. Im społeczeństwo kładzie większy nacisk na merytokrację, tym bardziej dążenie do niej przesłania nam fakt, że nie wszystko zawdzięczamy sobie. W takich okolicznościach nawet uczciwa merytokracja – taka bez oszukiwania, korupcji oraz specjalnych przywilejów dla zamożnych – wzmaga w nas mylne przekonanie, że na wszystko zapracowaliśmy sobie sami. Lata wielkiego wysiłku, jaki musieli włożyć kandydaci na prestiżowe uczelnie, niemal automatycznie stają się źródłem przekonania, że sami zapewnili sobie sukces oraz że jeśli im się nie uda, to będzie to wyłącznie ich wina.

Dla młodych ludzi to bardzo duży ciężar, który jest jednocześnie bardzo szkodliwy z punktu widzenia wrażliwości społecznej. Im bardziej myślimy o sobie jako o ludziach, którzy sami zapracowali na swój sukces i są samowystarczalni, tym trudniej jest się nam nauczyć wdzięczności i pokory. Bez tego rodzaju skłonności trudno jest pracować na rzecz wspólnego dobra.

Rekrutacja na studia to tylko jeden z pretekstów do rozważań o merytokracji. W dzisiejszej polityce mnóstwo debatuje się nad tym, kto na co zasługuje. Na pierwszy

rzut oka debaty te poruszają kwestię sprawiedliwości: czy wszyscy mają naprawdę równe szanse w rywalizacji o najbardziej pożądane dobra i pozycję społeczną.

Nasze spory o to, kto na co zasługuje, nie sprowadzają się jednak tylko do słuszności. Dotyczą one również definicji sukcesu i porażki oraz stosunku szczęśliwców do tych, którym powiodło się gorzej. Ponieważ są to naprawdę trudne pytania, staramy się unikać ich tak długo, aż same nam się narzuca.

Jeśli mamy znaleźć właściwą drogę w dzisiejszych realiach spolaryzowanej polityki, musimy zastanowić się nad kwestią zasług. W jaki sposób w ostatnich dekadach zmieniało się znaczenie zasług? Etos pracy uległ istotnemu osłabieniu i zostawił wiele osób z poczuciem, że elity patrzą na nie z góry. Czy ci, którzy na globalizacji wygrali, słusznie wychodzą z założenia, że zapracowali sobie na swój sukces, więc na niego zasługują? A może to po prostu merytokratyczna pycha?

W momencie, w którym gniew wymierzony w elity doprowadził demokrację na skraj urwiska, kwestia podejścia do zasług nabiera szczególnego znaczenia i pilności. Musimy się zastanowić, czy rozwiązaniem problemów naszej podzielonej rzeczywistości politycznej jest wzmacnianie przywiązania do koncepcji życia zgodnie z systemem zasług, czy też raczej powinniśmy szukać wspólnego dobra ponad podziałami i ambicjami.